Nr. 42. Poznań, niedziela 18-go października 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya:
Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Galicya przed sądem parlamentu wiedeńskiego.

Stało się nie po raz pierwszy, że stronnictwa opozycyjne w Galicyi zaniosły skargi swoje z pominięciem sejmu przed trybunał parlamentu wiedeńskiego, i nie po raz pierwszy się stało, że usłyszeliśmy ze strony partyi rządowej cierpkie słowo o braku patryotyzmu tych, którzy zamiast w własnym domu „prać brudy domowe“, wiozą je do Wiednia i tam wielką urządzają pralnią. Argument ten z lubością powtarzają i nasze konserwatywne dzienniki, operujące stale tanim frazesem o kalaniu własnego gniazda, ilekroć rozlega się ostrzejsza krytyka rodzinnych stosunków i wstrząsa stanowiskiem kierowników społeczeństwa. Odwoływanie się do uczuć patryotycznych nie w interesie całego kraju, lecz w interesie jednej koteryi, to stara i wypróbowana metoda, posiadająca zawsze jeszcze urok pewien i kurs w życiu publicznem. Że jednak takie pojmowanie patryotyzmu krytyki nie wytrzymuje, że konieczność polityczna zmusza niejednokrotnie do zerwania z zasadą powyższą, o tem świadczą wymownie właśnie stosunki galicyjskie.

Jeżeli rozważymy formalną stronę interpelacyi galicyjskich, wytoczonych w parlamencie wiedeńskim, i cel, do którego zmierzała akcya opozycyi, to wstąpienie na drogę wiodącą z Galicyi do Wiednia uznać musimy za prawidłowe przystosowanie się do stanowiska, jakie namiestnik na mocy ustaw istniejących w obec rządu austryackiego zajmuje. Namiestnik Galicyi odpowiedzialnym jest tylko przed ministrem spraw wewnętrznych w Wiedniu, a w dalszej konsekwencyi przed parlamentem. Trudno zatem dziwić się, że skargi przeciw hr. Badeniemu, tolerującemu bezprzykładne nadużycia swoich starostów galicyjskich i udzielającemu niewątpliwie dyrektywę tych prześladowań, które zdusić mają ruchy ludowe wszelkich odcieni, — trudno się dziwić, że skargi swoje zaniosła opozycya tam, gdzie jest właściwy trybunał i gdzie się władza znajduje, mogąca poskromić zamachy namiestnika na swobody obywatelskie. Z głosami sejmu Badeni liczyć się nie potrzebuje, z głosami parlamentu mniej lub więcej liczyć się musi.

Ważniejszym jednak motywem interpelacyi wiedeńskiej jest ukształtowanie stronnictw w sejmie i parlamencie, jest różnica prądów, pojęć i uczuć konstytucyjnych, panujących z jednej strony w reprezentacyi galicyjskiej, z drugiej w reprezentacyi austryackiej. Czyż charakter i potęga stronnictw rządowych w izbie sejmowej dawała jakąkolwiek nadzieję przedstawicielom partyi opozycyjnych, że znajdą tam sędziów sprawiedliwych, że głosy ich nie zginą jak kropla w morzu przeciwników? Doświadczenie uczy, jak się traktują interpelacye lewicy w sejmie. Przechodzi się nad niemi utartym ogólnikiem do porządku dziennego i zabija bez ceremonii tą olbrzymią większością, która nie posiada nigdy słowa krytyki dla najjaskrawszych nadużyć władzy krajowej, pozostającej nie na usługach społeczeństwa, lecz w służbie panującej koteryi. Na głosy krzywdy dotkliwej, na głosy swobód podeptanych odpowiada się uśmiechem augurów i rojem mętnych wybiegów, z których przebija dumne słowo absolutyzmu: „Car tel est mon plaisir.“

Inne oblicze ukazały obrady parlamentu. Rząd uzyskał 28 głosów mniejszości i głos protestu brzmiał tak donośnie, że nawet sprzymierzeni z konserwatywnym klubem Hohenwarta Słoweńcy nie mieli odwagi stanąć po stronie skompromitowanego rządu i opuścili salę obrad w krytycznym momencie. A potem rozpoczęła się wielka kampania całej prasy liberalnej w Austryi i skarga tak silna, że równej przy obradach sejmowych rząd nie usłyszałby nigdy. Nie przeczymy, że nawet u najgorętszych i najfanatyczniejszych zwolenników ruchu ludowego zakraść się musi do uczucia tryumfu jakiś żal zrozumiały, że przed obcym trybunałem skompromitowano władze autonomiczne, że teraz na ustach wspólnego wroga ukazują się ironiczne uśmiechy nad tą Galicyą, tem polskiem Eldoradem, gdzie z zagwarantowanych swobód obywatelskich zrobiono szmat papierowy, którym każdy starosta pomiatać może bezkarnie. Gdzież jednak szukać ratunku? Gdzież bronić się przeciw władzom, dla których nie ustawy, nie konstytucya, lecz interes koteryi panujących jest kanonem postępowania?! Może to boleć, ale konieczność polityczna pchnęła na tę drogę. Nie wina to opozycyi, lecz wina tych, którzy władzę w ręku swojem drzierżą i władzy tej nadużywają do stronniczych celów.

Cóż dalej teraz? Łudzić się nie można nadzieją, że władze galicyjskie w skutek rozpraw wiedeńskich zawrócą odrazu z drogi obranej. Koterya panująca bowiem złożyła już niejednokrotnie dowody, że absolutyzmu swojego umie bronić z zadziwiającym uporem, a czując wzrost prądów demokratycznych i zanik własnych sił swoich posługiwać się nadal będzie sztuczkami i bezprawiem starostów. Toż słowa Badeniego, że władze mają nietylko prawo rozwięzywać wiece, na których odbywa się podburzanie ludu, lecz nie dopuszczać wogóle do zgromadzeń, których inicyatorzy budzą obawę, że działać będą w kierunku podburzającym, są chyba dość wyrazistem streszczeniem intencyi i opinii kierowników kraju. Dowodzić nie potrzebujemy, jak bezprzykładne nadużycia zbudować można na takiej zasadzie. Jeżeli samo prawdopodobieństwo akcyi podburzającej może stać się dostatecznym powodem, by nie dopuszczać do wieców demokratycznych, — jeżeli sama fizyognomia polityczna Lewakowskich lub Bojków wystarcza, by im odmówić prawa zwoływania zgromadzeń wyborczych, to starosta galicyjski staje się wszechwładnym panem, który deptać może bezkarnie swobody zagwarantowane konstytucyą i własne widzimisię polityczne, własne sympatye lub antypatye zamienić w rozstrzygającą instancyę.

Taką opinię wyrażono w odpowiedzi na interpelacyę, — zdaje się jednak, że to otwarte wyznanie ukrytych życzeń było nie na rękę rządowi austryackiemu, lubiącemu zawsze salwować pozory, bo minister Madeyski dał do zrozumienia, że pragnąłby, aby starości zamiast zakazywać wieców zapowiedzianych dopiero, rozwięzywali raczej już rozpoczęte zgromadzenia opozycyjne. Wygląda to na poprawkę wysłaną pod adresem wyżej scharakteryzowanej enuncyacyi, — w rzeczy samej jednak oznacza tylko zmianę formy, nie zmianę systemu.

W najbliższym czasie zatem nie można się jeszcze spodziewać, aby hr. Badeni porzucił metodę dotychczasową, — myli się jednak rząd przypuszczając, że systematycznem bezprawiem złamie ruch demokratyczny. I u nas w Poznańskiem panująca koterya posługiwała się metodą sztuczek dla wytępienia ruchu ludowego, a przecież ruch ten rozwinął się i zorganizował. Były to podobne stosunki tylko w miniaturze, bo nasz „ład i porządek“ nie mając władzy takiej jak hr. Badeni, nie mógł też takich jak hr. Badeni uprawiać nadużyć.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie „Banku ziemskiego“.

W „Gazecie Gdańskiej“ i „Grudziądzkiej“ pojawiły się artykuły, krytykujące ostro Bank ziemski, że do licytacyi w dzień przymusowej sprzedaży Topólna nie stanął i tem samem dopuścił nabycie tego pięknego majątku za bezcen (115 mrk. za morgę) przez p. Aronsona, który go natychmiast po licytacyi komisyi kolonizacyjnej odprzedał. Za Topólno ofiarowała przed dwoma tygodniami komisya kolonizacyjna 770 000 mrk., których właściciel nie przyjął w nadziei, że rozpoczęte już pertrakcye z Bankiem ziemskim pomyślny wydadzą skutek. Na subhascie zaś dla braku licytantów nabył p. Aronsohn majątek za 480 000 mrk. Skarży się także „Gazeta gdańska“ i „Grudziądzka“, że Bank ziemski polskiej właścicielce ostatniej hipoteki (115 000 mrk.) proszącej o pożyczkę kwoty potrzebnej do stawienia kaucyi przy licytacyi, tak uciążliwe podyktował warunki (zwrot długu w przeciągu 24 godzin), że przyjęcie ich było niepodobieństwem. W rezultacie hipoteka ta wraz z drugą (30 000 mrk.) znajdującą się w polskim ręku spadła przy licytacyi.

W obec zarzutów powyższych byłoby pożądanem, aby Bank ziemski podał do wiadomości publicznej motywy swego postępowania dla uspokojenia opinii publicznej. Nie wątpimy, że dyrekcya, której postępowanie dotychczasowe zasługuje na zaufanie i szacunek, musiała mieć chyba ważne powody, jeżeli przy sprzedaży Topólna świeciła nieobecnością.*)

*) Już po napisaniu uwag powyższych dowiadujemy się, że na walnem zebraniu Banku Ziemskiego udzielił hr. Żółtowski pożądanych wyjaśnień. Przeciw wyjaśnieniom tym zaprotestował jednak pan Piottuch-Kublicki. Przyp. Red.

* * *

Demokracya „Czasu“.

W „Słowie polskiem“, organie galicyjskiego klubu demokratycznego, czytamy:

„Czas protestuje przeciw naszemu twierdzeniu, że on, wraz ze swojem stronnictwem, zwalczał dążenia demokratyczne, że nie chciał uznać faktu demokratyzowania się naszego społeczeństwa i konieczności reform w tym kierunku. Nie! — powiada — myśmy nigdy nie zwalczali „uczciwych“ zasad demokratycznych, myśmy nawet popierali „pożyteczne i prawdziwe postępowe reformy wewnętrzne“. Szkoda tylko, że jako pożyteczne i prawdziwie postępowe reformy uznawał Czas wraz ze swojem stronnictwem tylko takie, które są wręcz przeciwne zasadom demokratycznym. Świadczy o tem historya naszego Sejmu. Kto zwalczał najsilniej połączenie gminy z dworem a zalecał natomiast skasowanie samorządu gminnego przez zaprowadzenie okręgów z mianowanemi z góry naczelnikami? Kto przez 10 lat sprzeciwiał się zrównaniu ciężarów szkolnych? kto konserwował dotychczas wielką nierówność ciężarów drogowych? kto udaremniał wcześniejsze i wydatniejsze polepszenie płac nauczycieli szkół ludowych? kto wszelkiemi sposobami powstrzymuje napływ młodzieży niezamożnej do szkół średnich? kto przez lat blisko 30 przeszkadzał powiększeniu liczby posłów z miast? kto natchnął komitety centralne duchem ekskluzywności, który jest głównem źródłem rozterki, jaka dziś w kraju panuje? kto przeciw pierwszej próbie silniejszej w Sejmie organizacyi żywiołów demokratycznych, organizował unię konserwatywną i wydał tem samem hasło walki, zamiast hasła pracy? Ale dosyć tych przykładów. Wystarczą one, aby okazać, ile jest obłudy w twierdzeniu Czasu, że on i jego przyjaciele nigdy „uczciwych“ zasad demokratycznych nie zwalczali.

Powtarza Czas znowu, że stronnictwo demokratyczne polskie jest bliskiem bankructwa, jest zupełnie podkopanem. Powtarzamy z naszej strony: zeszłoroczne wybory do Sejmu tego nie potwierdzają. Na 22 krzeseł, które lewica zajmowała w poprzednim Sejmie, utrzymała 17, straciła 5, a zyskała natomiast 5 nowych. To chyba nie jest klęską. A co do przyszłości — lepiej nie bawić się nikomu w proroctwa. Ale Czas popada w sprzeczność, skoro twierdzi naprzód, że stronnictwo demokratyczne jest podkopane przez radykałów — a potem, że między kierunkiem stronnictwa demokratycznego a obecnym kierunkiem radykałów „właściwie żadnych różnic zasadniczych ani przeciwieństwa nie ma“. Jeżeli to prawda — w takim razie nie ma co mówić o „podkopaniu“ — wtedy bowiem zwycięstwa radykałów byłyby zarazem naszemi zwycięstwami, skoro kierunek jest tu i tam jednaki. Wszak nie o osoby idzie, ale o kierunek i zasady. Logika Czasu szwankuje nie od dzisiaj“.

— ski.

**

† Juliusz Gregr.

W środę, 7-go października, niezliczone tłumy ludu czeskiego odprowadziły o zachodzie słońca zwłoki Juliusza Gregra na miejsce spoczynku. Zmarł jeden z najzdolniejszych przywódców młodoczeskiego stronnictwa, jeden z tych, którzy niezłomnie powtarzają swoje „ceterum censeo“: Niemiec to najpotężniejszy wróg całej Słowiańszczyzny. Więc do wspólnej łączmy się walki!

Juliusz Gregr urodził się 29 grudnia 1831 r. w Brzhradzie pod Królowym grodem i kończył studya w uniwersytecie praskim. Był on bratem posła młodoczeskiego, dra Edwarda Gregra, z którym wspólnie brał udział w agitacyi i politycznem przywództwie stronnictwa młodoczeskiego. Tym sposobem rosło stronnictwo to w siły, a usunąwszy stronnictwo staroczeskie z politycznej widowni, zawładnęło wreszcie całemi Czechami. Jako główny środek ku temu służył założony przez Juliusza Gregra i kilku przywódców czeskich organ stronnictwa „Narodni Listy“, których pierwszy numer ukazał się 1 stycznia 1861. Gregr rozpoczął natychmiast zażartą kampanię przeciw ministerstwu Schmerlinga i stronnictwu centralistycznemu, popierając z całą energią prawnopaństwową federalistyczną ideę pań-

---

WŁADYSŁAW RABSKI.

A jutro?

Późno już było, lecz młody artysta nie słuchał dźwięków zegaru, przebiegając ręką po klawiszach fortepianu, z których płynęły tony i smutne i drżące. Opodal spoczywała na miękkim fotelu kobieta, wsłuchana w te urywane melodye, których muzyk łączyć się nie starał, a które jednak miały przedziwną harmonię dzikiego ustronia, nietkniętego jeszcze dłonią człowieka. I znowu ręce jego nerwowym ruchem przebiegły klawisze, rwąc z strun jakiś wicher namiętnych tonów i w szalonych pasażach ciskając bez słów skargę żałosną. Była to wspaniała improwizacya bólu, której dźwięki na nerwowych licach kobiety wyciskały piętno niepokoju i upojenia. Nagle artysta silniej uderzył i urwał, uchem tylko ścigając echo ginących melodyi.

Po chwili młoda kobieta poruszyła się i odgarniając włos złoty, który jej czoło zasłonił, szepnęła:

— To było dziwnie piękne.

Mężczyzna spojrzał na mówiącą i niepewnym, drżącym jeszcze od wzruszenia głosem powtórzył:

— Piękne?

Potem oczy skierował w ziemię i dodał:

— Gdyby nie muzyka, to nie wiem doprawdy, czy znalazłbym odwagę do życia. Tu się człowiek na strunach wypłacze, wyskarży i ukoi, choć na moment tylko.

Młoda kobieta znów poruszyła się niespokojnie.

— Tak, szepnęła wreszcie — to prawda.

Pochyliła się teraz nad poręczą kanapy i lekka zaduma błysła w jej błękitnych oczach.

— Dawniej... po ślubie — mówiła znowu, zaniedbałam muzykę, bo Hektor nienawidzi fortepianu, ale teraz jestem samą tak często, że wrócić mogę do starego przyjaciela.

Artysta oderwał oczy od ziemi.

— Hektor! szepnął i spojrzał na zegarek, jakby imię to przypomniało mu, że jest jakieś „coś“ filozoficzne, które „czasem“ zowią. Popatrzył chwilę na towarzyszkę swoją, podniósł się zwolna i oparty jedną ręką o krawędź fortepianu, wyrzekł z lekkiem wahaniem:

— Już północ.

— Godzina upiorów — odparła z smutnym uśmiechem kobieta.

— Ja żywych ludzi się boję, ja...

Zatrzymał się, oczy na chwilę przykuł do ziemi, a potem z nagłem postanowieniem skłonił się szybko:

— Dobranoc!

— Pan odchodzi? — spytała piękna gospodyni, wstając z fotelu. — Nie spostrzegłam nawet, że północ się zbliża. Dobranoc!

Przez chwilę zaległo milczenie elegancki salonik, w którym czuć było zmysłową woń heliotropu. Oczy tylko młodego człowieka natarczywie wpatrywały się w lica kobiety, a potem rękę wyciągnął i uniósł jej drobne paluszki do ust gorących, okrywając je długiemi pocałunkami.

— Panie Emilu! szepnęła młoda kobieta z lekkim wyrzutem — panie Emilu!

Głos ten zbudził artystę z zachwytu. Oderwał usta od malenkiej dłoni i z cichem westchnieniem odsunął ciężką portyerę, zakrywającą drzwi buduaru. Ręka jednak spoczęła machinalnie tylko na klamce, żal mu było nacisnąć ją i rzucić ukochaną kobietę. Raz jeszcze odwrócił głowę i patrząc smutnym wzrokiem na piękną towarzyszkę, cichym, melodyjnym powtórzył głosem:

— Dobranoc! pani Izo...

Zatrzymał się, chciał mówić, lecz słowa zamierały na ustach, a Iza zaambarasowana bawiła się błyszczącym sztyletem z kości słoniowej. Przeczucie mówiło jej, że usłyszy słowa, których słuchać nie powinna,

stwową, i walcząc równocześnie przeciwko żywiołowi niemieckiemu. Obaj bracia Gregrowie działali przez pewien czas wspólnie. Juliusz Gregr jako redaktor Narodnich Listów, wszedł niebawem w konflikt z władzami prasowemi; w 1862 skazano go na 10-miesięczne więzienie za przekroczenie prasowe. To otoczyło go w oczach Czechów aureolą męczennika narodowego. Gdy dla odbycia kary jechał otwartym powozem przez ulice, urządzono mu entuzyastyczne owacye, a gdy 27 sierpnia 1863 r. wyszedł z więzienia, przyjmowano go jak bohatera. Narodni Listy pod jego redakcyą wywierały olbrzymi wpływ na całą ludność czeską.

Przez długi czas nie chciał Juliusz Gregr przyjąć wyboru na posła do sejmu krajowego, gdyż wolał kierować polityką młodoczeską z pokoju redakcyjnego. Dopiero w r. 1877, gdy Młodoczesi wstąpili znowu do sejmu dał on się skłonić do przyjęcia mandatu poselskiego. Juliusz Gregr reprezentował liberalny, w kilku kwestyach radykalny kierunek polityki czeskiej; chciał on uwolnić naród czeski od wpływu szlachty i kleru i popierał wśród ludu czeskiego tak zwany „husycki“ kierunek, który znalazł w organie młodoczeskim gorliwego zwolennika. Także wzrastającą niechęć ku Niemcom skutecznie zasilał Juliusz Gregr w swym organie. Do rady państwa wybrano Gregra kilkakrotnie; ale dopiero z wstąpieniem Młodoczechów do reprezentacyi państwa, użył on swego mandatu na czas krótki. W jesieni 1879 r. wstąpił Gregr do Izby poselskiej, a 26 grudnia r. 1789 złożył mandat. Izba poselska nie wabiła go, również jak Sejm krajowy, gdzie uważano go jednakże za autora przeważnej części wniesionych ze strony młodoczeskiej projektów adresu i wniosków prawno-państwowych. W obec rokowań ugodowych za rządów hr. Taafego zajął on tak w Narodnich Listach jak w sejmie wrogie stanowisko. Opowiadał na posiedzeniu sejmu kraj. d. 2 czerwca 1890 r. bez najmniejszego skrupułu, jak hr. Taaffe usiłował rozpocząć rokowania z Młodoczechami, zaznaczając, że stronnictwo to odrzuciło propozycyą wstąpienia w służbę rządu, jak to uczynili Staroczesi. Na ten czas przypada zupełne zerwanie stosunków między Młodo- a Starochami, a za sprawcę tego kroku uważano powszechnie Juliusza Gregra. Podczas gdy Edward Gregr prowadził tę walkę po wsiach, na zgromadzeniach i wiecach ludowych, trzymał się Juliusz Gregr więcej na uboczu i walczył w swoim organie, dopóki nie rozbił reprezentacyi Staroczechów w radzie państwa i nie zmniejszył ich wpływu w sejmie krajowym.

Cierpienia fizyczne zmusiły go przed kilku laty do wystąpienia z sejmu, a w ostatnich latach do zaniechania kierownictwa Narodnich Listów. Od tego czasu usunął się zupełnie z areny politycznej.

Jako wydawczyni i właścicielka podpisuje obecnie Narodni Listy wdowa, pani Róża Gregr.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Fakty z życia ekonomicznego.

II.

Przyczyny i przypuszczalne skutki rozwoju ekonomicznego.

(Dokończenie).

Tak więc w Ameryce, w Rosyi, w Azyi, a poczęści w południowej Afryce zaczyna się otwierać rynek kolosalny dla produktów i produkcya ta zacznie się wzmagać w sposób olbrzymi. Nie znaczy to, że będzie wzrastała bez przeszkód. Tu i owdzie będą drobne bankructwa, lokalne przesilenia, których nie omieszka sprowadzić hyperspekulacya i hyperprodukcya; znaczy to jedynie, że owa zmora dusząca świat przez lat 15, ów kryzys ślimaczący się tak długo minął i wkraczamy w okres rozwoju.

A co nastąpi po tym okresie? Niebywały d é b a c l e! Jeżeli bowiem dotąd świat kapitalistyczny, tak maluczki stosunkowo, zostanie powiększony o Azyę, o Amerykę południową, o Afrykę południową, to można sobie wyobrazić, że klęski, jakie sieje i siać musi kapitalistyczna produkcya zolbrzymieją w sposób niebywały. Świat kapitalistyczny nie zatrzyma się już teraz w „rowie krachu“, jak mówił stary Engels, ale na złamanie karku poleci w przepaść bezdenną krachu wszechświatowego.

Już same Chiny przez wystąpienie na arenę współzawodnictwa zaostrzą to współzawodnictwo w sposób niebywały. To też są tacy, którym strach przed tym współzawodnictwem zapiera dech w piersi i mąci rozum. Krzyczą oni: hordy chińskie zabiją świat, kultura nasza zginie! Strachy na lachy. Hordy nie zabiją Europy właśnie dlatego, że naród chiński przestanie być hordą. Do podboju fizycznego nadają się tłumy Tamerlana, — nie nadaje się państwo kapitalistyczne. Horda tatarska mogła ruszyć wałem, zgnieść wszystko naporem swoim. Tego nie może naród, w którym zaczyna się podział pracy, spowodowany kapitalizmem, w którym zjawia się podział społeczny na klasy, wzajemnie trzymające się w szachu. Widzimy to z historyi Europy: Anglicy, potomkowie Normanów, którzy niedyś szli na podboje, dziś mogą tylko wojować w krajach o bardzo niskiej kulturze. Francya, z Napoleonem nawet na czele, dziś Europy nie podbije. Niemcy dziś nie są w stanie wznieść się do wielkiej akcyi. Jedna Rosya może na chwilę jeszcze istnieć jako państwo zaborcze, militarne na wskroś, ale i ta Rosya przestanie wkrótce być tem, czem jest, skoro podstawy samowładztwa carskiego, spoczywającego na państwie czysto chłopskiem, zostały podkopane przez przewrót kapitalistyczny. Tak samo będzie z Chinami. W dzisiejszej postaci do podbojów nie nadają się one. widzieliśmy przecież, że nawet obronić się nie mogą. Na przyszłość albo staną się łupem państw europejskich, które podbiją je nie w wielkiej walce, ale powolnemi utarczkami na polu przemysłu, zaprowadzając tam stosunki takie, jakie widzimy w Indyach, albo też staną się same państwem kapitalistycznem, nie zdolnem do tamerlanowskich podbojów. Ale, powiedzą nam, Chiny w takim razie zabiją nas ekonomicznie tanością swojej produkcyi. Sądzimy, że i tu przesadza się zwykle. Dotąd bowiem powtarzano gołosłowne frazesy o bajecznem uzdolnieniu chińczyków do pracy czysto mechanicznej i stąd wnioskowano o ich

---

a myśl bezsilna napróżno szukała środków, by powstrzymać wybuch grożący. I nastąpiła długa chwila milczenia, duszna i przykra dla obu tych ludzi. Wreszcie Emil opuścił rękę, spoczywającą ciągle jeszcze na klamce, i głosem wysilonym, szorstkim prawie, który niemile rozległ się w salonie, zawołał:

— A Hektor w klubie?

Iza skinęła smutnie głową i znowu cisza salonik zaległa. Dźwięk własnego głosu jednak ośmielił Emila, to też po chwili znów mówić począł, a słowa tym razem płynęły spokojniej, choć drgała w nich nuta bolesna.

— Hektor w klubie, — powtórzył, — a Pani zostawiona na łup samotności. Balada jakich wiele.

Cień niezadowolenia przesunął się po licach Izy i lekki rumieniec zaczerwienił bladą twarzyczkę.

— O! Hektor wróci, wróci niebawem — zawołała szybko, lecz w głosie jej było tyle niewiary i zakłopotania, że Emil zaśmiał się głośno.

— On wróci? A może dla tego, żeby bieliznę zmienić.

— Panie Emilu! przestań pan! — przerwała Iza błagalnie złośliwe protesty młodego człowieka. — On jest mężem moim, on...

Dalej mówić nie mogła, tylko ręce załamała i łkając rzuciła się w fotel. Chmurne spojrzenie Emila jeszcze gęstszą mgłą się pokryło. Zdawało się, że w tych mętnych czeluściach ocznych niema jednego blasku słonecznego, jeno noc jesienna bez księżyca, przesiąkła wilgocią.

— Idę już, — rzekł szorstko, — idę, powtórzył, ale po chwili zwrócił się znowu i zbliżając się do Izy, gwałtownie ścisnął jej rękę, spoglądając ponuro nieruchomą źrenicą, w której teraz błysk jakiś zaświecił. Młoda kobieta poczuła oddech jego na twarzy i usłyszała szept syczący, dziki i namiętny.

— Ja nie mogę inaczej, nie mogę, Izo.

Głos jego na rozpaczliwą nieomal już teraz rozegrał się nutę i cisnąc nerwowo dłoń ukochanej, mówił urywanym, jakby z głębi wyszarpanym głosem.

— Czy ty nie widzisz, Izo, co się zemną dzieje? Jestem szalony, lecz kocham. Nie masz prawa mnie potępiać. Nie... nie... słyszysz Izo? — I rzucając się do stóp ukochanej kobiety, okrywał jej ręce i kolana pocałunkami.

Chwilę słuchała Iza milcząca tych wyznań gorących.

Muzyka takich tonów durzy i zachwyca, a chociaż o uszy granitowej uderzy kobiety, na chwilę ją wstrząśnie, na chwilę oddech zatrzyma. Nigdy jeszcze ten człowiek tak ją nie pociągał, więc milcząc słuchała i bezwiednie upajała się dźwiękiem słów jego. Lecz nagle zadrżała. A Hektor, a mąż, a dziecko? I dumna powstała, i dumna wydarła dłoń z ręki Emila, i blada, nie mówiąc ni słowa, wskazała drzwi klęczącemu. Jakieś rzężenie ozwało się teraz w piersiach młodego człowieka i ochrypłym głosem powtarzał:

— O! nie tak, nie tak, Izo!

Był to i krzyk i jęk i płacz rozpaczliwy. To też ręka Izy wyciągnięta ku drzwiom opadła i usta tylko szepnęły łagodnie:

— Idź pan.

Emil, przyciskając dłoń do czoła rozpalonego, podniósł się zwolna, a potem wargi rozchylił kilkakrotnie, jakby słowo jakieś chciał z piersi wyrzucić, lecz dźwięku napróżno wydobyć się starał. Iza zdziwiona i zaambarasowana nie wiedziała, co począć, co mówić do niego. On stał cichy i nieruchomy; po chwili dopiero milcząc schwycił za kapelusz i ku drzwiom się zwrócił.

— Panie Emilu! szepnęła Iza.

Stanął i w martwem oku znowu blask zajaśniał.

— Będę się starała zapomnieć, ale proszę już nigdy nie przypominać mi o tem.

Usta młodego człowieka drgnęły, chciał coś powiedzieć, lecz nagle zwrócił się i bez słowa wybiegł z pokoju. Iza przykuta do miejsca spoglądała na portyerę, która chwiała się przez chwilę, a potem zamknęła cicho

uzdolnieniu do przemysłu. Są to jednak frazesy oparte na zupełnej nieznajomości pracy fabrycznej. Autorowie ich naczytali się o mechanicznej pracy fabrycznej, która rzekomo robi z robotnika fabrycznego dodatek do maszyny, wywnioskowali stąd, że zdolności umysłowych do takiej pracy nie trzeba, że chodzi tylko o pracę mięśniową; a z drugiej strony zasłyszeli o fenomenalnych zdolnościach chińczyka, który jest w stanie dłubać, choćby przez dzień cały, igłą kawałek drzewa bez żadnego znużenia, czego nie dokaże europejczyk, i stąd wywnioskowali o szczególnej podatności chińczyka do pracy fabrycznej w wielkim przemyśle. Otóż rzeczy tak się nie mają. Praca fabryczna jest jednostajną, jest mechaniczną, jest prostą, wszystko to prawda, lecz nie mniej praca ta wymaga specyalnego rozwoju umysłowego, wymaga szybkości oryentowania się, wymaga ciągłego myślenia, ciągłej uwagi, ciągłego wysiłku nerwów i mózgu, któremu nie każdy sprosta. Umiemy ocenić pracę tkacza indyjskiego, który wyrabia cudowne szale, lub pracę dawnego tkacza, żydka polskiego, który w Słucku tkał pasy złotolite. Postawmy jednakże takiego tkacza do tkalni mechanicznej, gdzie trzeba dopilnować krosien biegnących z piekielną szybkością, a nie wiemy, czy da sobie radę z jednemi krosnami, a napewno nie upora się z dwoma lub trzema, jak to czyni tkacz angielski lub łódzki. Cenimy wysoce artystę-ślusarza średniowiecznego, który wykonywał cudowne po prostu prace młotkiem, ale zaręczam, że ślusarz ten okaże się niedołęgą w dzisiejszej fabryce, skoro każą mu według planu wykonać część skomplikowanej maszyny. Praca kowala z Damaszku, który kuł i przekuwał stal po tysiąc razy, zanim wyrobił cudną szablę damasceńską, była bardzo trudną, ale postawmy tego samego kowala przy skomplikowanym młocie parowym, lub przy retorcie Bezemera, a pomimo, że jest to praca stosunkowo prosta, ucieknie od tej pracy.

Zaręczamy, że autor powyższych frazesów, zmuszony do pracy fabrycznej, przekonałby się bardzo prędko, że do jej wykonania trzeba conajmniej tyle wysiłku intelektualnego, ile trzeba do pisania tych właśnie frazesów. Wysiłek ten może nie jest większy, niż ten, jaki czynił rzemieślnik, jaki czyni azyatycki dłubacz, ale jest inny, i żeby być w stanie podołać mu, trzeba całego szeregu pokoleń nawykłych do tego właśnie rodzaju pracy. To też uczeni, którzy rzeczywiście wiedzą, co jest przemysł, do innych doszli wyników o wydajności pracy*). Wiedzą oni, że praca tkacza angielskiego jest wydajniejszą od niemieckiego, a tego wydajniejszą od rosyjskiego, nawet przy tych samych maszynach. To samo spostrzeżenie zrobiono w przędzalniach, gdzie przecież selfaktor jest ideałem prawie maszyny i jak najmniej tu pozostawia się robotnikowi. Właśnie im bardziej skomplikowaną jest maszyna, tem większej wymaga zdolności umysłowej od robotnika, który ją obsługuje. Że teoretycy nie mylą się, tego dowody mamy porównywając n. p. przemysł rosyjski z polskim. Niedawno ktoś zwiedzający wystawę w Niżnim Nowgorodzie zachwycał się w „Gazecie Polskiej“ pomysłowością rosyjskiego „kustara“, który prymitywnemi narzędziami potrafi zrobić fortepian, welocyped i t. p. Dowód to, że robotnik rosyjski jest bardzo sprytny. A pomimo to przemysł łódzki bije moskiewski na rynkach azyatyckich dlatego tylko, że ma robotnika o wyższej kulturze, robotnika, który już od dwóch pokoleń przywykł do pracy fabrycznej. Fabrykanci rosyjscy dziś często obawiają się zaprowadzić nowe systemy fabrykacyi, gdyż niedowierzają swoim robotnikom co do zdolności, i mają słuszność. Otóż, tak przypuszczać należy, będzie i w Azyi. Chińczyk „dłubiący“ tak wytrwale nie stanie się na pierwszy rzut robotnikiem doskonałym w wielkim przemyśle, nie będzie produktywniejszym od anglika, a nawet od niemca lub rosyanina.

Ale, odpowiedzą nam, chińczyk jest tani. Słusznie, ale przemysł z drogim robotnikiem dotąd bił zawsze przemysł z tanim. Zresztą tanim jest chińczyk dziś, czy zostanie tak tanim wtedy, kiedy kapitalistyczny ustrój ogarnie Chiny, to kwestya. Nie było tańszego robotnika jak chłop pańszczyźniany, padła niewola i robotnik stał się droższym, — przewrót zaś, który czeka Chiny, jest niemniej doniosłym, jak przejście Europy od pracy pańszczyźnianej do wolnego najmu.

A jeżeli chińczycy, jako robotnicy najemni, zaczną napływać do Europy? Ależ o to właśnie chodzi, że w miarę rozwoju kapitalizmu w Chinach ludność zostanie zaobsorbowaną na miejscu.

Te groźby o taniości chińczyka mają cel bardzo realny. Autorowie ich, jest pomiędzy nimi jeden polak, chcą wmówić w robotnika europejskiego, że wobec tej grożącej konkurencyi powinien zaniechać zabiegów o skrócenie dnia roboczego i podwyższenie płacy. Mamy nadzieję, że nie usłucha. Przez podwyższanie właśnie stopy życiowej, przez skracanie pracy, stanie się on tem więcej uzdolnionym do konkurencyi i przyczyni się do ciągłych ulepszeń technicznych. Gdyby proletarjat europejski pozwolił zniżyć siebie do stopy azyatyckiej, zginęłaby Europa. Przez wyższą swą kulturę, której warunkiem jest wysoka stopa życiowa robotnika, góruje ona nad światem; dopóki ją ma, ma wyższość, jaką ma rumak pielęgnowany nad zaniedbaną szkapą. A że ta kultura pozostanie wysoką, to zawdzięczamy walce klasy roboczej: bez tej walki już dawno zeszlibyśmy poniżej Azyi.

Nie tak więc, sądzimy, odbędzie się dalszy przebieg na rynku wszechświatowym, że Azya podbiję Europę, ale tak, że Azya, że świat cały zostanie rzuconym w wir kapitalistyczny. Wobec tego zaś zdobycze jak i klęski gospodarki kapitalistycznej staną się wprost olbrzymie i posuniemy się dalej na drodze kultury. Ale na drodze tej czekają społeczeństwa przewroty ekonomiczne, wobec których przejście od ustroju pańszczyzny i pracy rzemieślniczej do wolnego najmu i przemysłu fabrycznego są bagatelą, oraz przewroty polityczno-społeczne, wobec których rewolucya francuska jest igraszką. Jednakże tak samo jak w świecie zjawisk geologicznych, rozwój odbywa się zwykle bez kataklizmu, a przez powolne, ledwie dostrzegalne dla oka, drobne przejawy, tak samo w życiu społecznem narastanie maluczkich pozornie przyczyn przekształca w końcu ustrój cały.

Zjawiska więc, jakie odbędą się w dal-

*) Patrz specyalnie: Schulze von Gävernitz „Der Grossb trieb“.

---

skrzydła swoje i fałdami ciemnemi drzwi otuliła...

Po burzliwej scenie nic nie zostało, prócz wspomnienia i cichych westchnień, które się z piersi opuszczonej wydzierały kobiety. Po chwili w kącie salonu, na wykwitnej gotowalni, zegar śpiewnie wygłosił północ. Iza znów westchnęła i z cichą rezygnacyą rzuciła się na miękki fotel.

Mąż jej nie wracał.

Wzięła książkę do ręki, próbowała czytać, — daremno! Litery w jakieś fanastyczne składały się zygzaki, jakieś myśli majaczyły w rozburzonym mózgu, który ich ująć w organiczną całość nie umiał. Boże! jak nudno płyną te godziny. Dopóki Emil siedział tam opodal i drżącym, przejmującym głosem mówił... o czem? Mgła przesłoniła jej pamięć. Salonowa gawędka to czcza i monotonna gama muzyczna, lecz gdy w ukryciu cicha nuta przygrywa miłości, wtedy staje się pieśnią o cudownem brzmieniu, po której zostaje tylko wspomnienie melodyi, lecz słowa nikną w oddali i pamięć naprożno goni hen! za niemi. Czemu on dziś tak dziwnie, tak inaczej mówił? A może ona tylko inaczej słuchała. Bywają chwile, w których dusza, opanowana potęgą jednego wrażenia, staje się nieczułą na wszystko, co po za tem leży; bywają chwile, w których śpiew majowego słowika jest dla nas niczem więcej, jak brzęczeniem komara, a wschód słońca plamą czerwoną. W objęciach Hektora usnęła dusza Izy i nic prócz pana swego nie widziała, ale po tem miłosne rozwiły się sploty i budząc się usłyszała cichą nutę, niby tęsknotę stepowego jeźdźca, i ujrzała twarz smutną i te niemiętne oczy Emila, które tak paliły, tak ją przenikały.

A Hektor, a mąż, a dziecko! Nigdy!

Iza chwyciła za dzwonek, drzwi się otworzyły i młode dziewczę stanęło na progu.

— Jaśnie pani dzwoniła?

— Tak... to jest... czy Janinka śpi?

— Śpi, jaśnie pani.

— Nie płakała?

— Nie.

— Możesz się położyć! — albo czekaj, rozbierz mnie!

Dziewczyna przysunęła się, Iza rozpięła stanik i nerwowym ruchem rzuciła go na ziemię.

— Rozpleć mi włosy!

Dziewczyna gęste rozwijać poczęła sploty, a zegar zwiastował pierwszą godzinę.

Jakaś niezgrabna! Obędę się bez ciebie. Idź sobie, idź, idź natychmiast.

Dziewczę litościwem wzrokiem spojrzało na panią i pokornie wyszło z pokoju. Wargi Izy drżały konwulsyjnie, ręce zaciskały się kurczowo. Hektor nie wracał, a ludzie tak na nią patrzeli, jakby nad jej dolą litość wielką czuli. Emil drwić się odważył, służąca tak dziwnie spojrzała, a tam na stoliku fotografia jego uśmiechniętem spoglądała okiem. Czemu on się uśmiecha? Iza splotła dłonie i szalonym ruchem pokój przebiegała. Potem znów usiadła przed obrazem Hektora i patrzała weń długo martwem, osłupiałem spojrzeniem. Czemu on się uśmiecha? Czy on drwi z jej wiary dziecięcej? Spojrzała na zegar, — już wskazówka większą połowę drogi między pierwszą a drugą skończyła. A on? Może z inną.. Tu Iza głośnym wybuchła płaczem. Rozplecione włosy spływały na marmurową szyję, nagie ręce, oparte na stole, bezwładnie teraz opadły na kolana, a światło, filtrowane przez różowy abażur lampy, w tajemnicze kolory stroiło kształty obnażone. Po chwili łkania ustały, sztuczna rezygnacya okryła jej lica i usta zacięły się, jakby stłumić chciały ostatni wybuch rozpaczy.

— Będę czekała noc całą, niech wie, niech czuje moje położenie.

I niema, spokojna jak posąg grecki, głowę oparła o poręcz fotelu, a zegar zwiastował godzinę drugą. Cisza, — pierś młodej kobiety podnosi się lekko, powieki przymrużone czasami tylko odchylą się trochę, twarz cała martwa i bezwładna, a minuty płyną i płyną i głos dzwonkowy nuci trzecią po północy. W tej chwili lekki, ledwie dosłyszalny skrzyp ozwał się za drzwiami, — moment jeszcze, portyera zadrżała, podniosła się i przed smutną Izą stanął człowiek o twarzy miękkiej, kobiecej prawie. W dużych, niebieskich oczach, winem zapa-

szym toku rozwoju, przy nowej fazie, w jaką weszliśmy niespostrzeżenie, nie będą różniły się w niczem od innych. Koncentracya kapitałów, niwelacya społeczna pójdą dalej, walki pomiędzy kapitałem i pracą będą odbywały się w dalszym ciągu, tylko tempo będzie przyspieszone.

Weźmy pod uwagę ostatnią kwestyę: Kryzys minął, zaczęło się ożywienie; ceny wszystkich towarów poczną wzrastać: jeden jednakże towar regularnie pozostaje wyjęty z tego ruchu, a przynajmniej cena jego wzrasta wolniej. Towarem tym jest praca. Ale, jak powiedzieliśmy, kryzys ostatni piętnastoletni doprowadził do tego, że dwie wrogie potęgi: praca i kapitał, stanęły wobec siebie bardziej świadome swego antagonizmu, bardziej uzbrojone do walki. Walka więc będzie w najbliższej przyszłości ostrzejszą, bezrobocia, bojkoty, lockout'y będą większe, gwałtowniejsze Dalej zaś, ponieważ życie polityczne jest w związku bardzo ścisłym z życiem ekonomicznem, należy oczekiwać, że z peryodem depresyi ekonomicznej minął też okres reakcyi, a zacznie się okres gdzie życie to będzie biło żywszem tętnem.

Są tacy, którym strach tej przeszłości, którym bardzo wygodnie było w dotychczasowej atmosferze stęchlizny i zastoju; są też tacy, którzy teraz wobec nowych prądów i walk podniosą skowyt i larum wielkie, są w końcu tacy, co wzorem strusia zagrzebują głowę w piasku, nie chcą widzieć walki, i dla uspokojenia siebie i tych, co słuchać zechcą, deklamują szczerze lub obłudnie o harmonii, o miłej zgodzie, słowem rozlewają balsam i olejek różany. Co do nas, wolimy zgiełk i wrzawę walki, byleby była prowadzona, jak na rycerzy przystało. Toż w końcu — walczyć to żyć. *J. B. Marchlewski.*

BADANIA NAUKOWE.

Elektryczność
jako nowe źródło siły motorycznej.

Jeżeli uprzytomnimy sobie rozwój człowieka pomiędzy czasem, kiedy żyjąc w jaskiniach posługiwał się kamiennemi narzędziami w najprostszych formach, jakie mu natura w zaostrzonym kamieniu, lub sękatym kiju dawała, a dniem dzisiejszym, dostrzeżemy łatwo, że rozwój ten opiera się głównie na stopniowem poznawaniu praw natury i wyzyskiwaniu ich ku swoim celom. Siła mechaniczna, którą człowiek może rozwinąć, jest tak mała, że skazani tylko na nią stalibyśmy na jednym i tym samym stopniu rozwojowym, nie posuwając się ani krokiem naprzód, podobnie do innych społeczeństw zwierzęcych, ożywiających kulę ziemską, których postęp rozwojowy, jeżeli wogóle jakikolwiek egzystuje, jest tak nieznaczny, że go nawet zauważyć i skonstatować nie możemy.

Pierwszej siły pomocniczej dla człowieka dostarczyły zwierzęta domowe; pomoc ta przystosowana do pewnych praw fizycznych, zmniejszających tarcie, była przez długie wieki jedynem źródłem mechanicznej energii. Obok niej zaprzągł człowiek już z dawna w swoje jarzmo wiatr i prąd wody, zmuszając je do obracania wiatraków i młynów. Siły te jednak, jakkolwiek potężne w porównaniu z tą jaką człowiek może rozwinąć za pomocą swych mięśni, są niczem wobec wynalazku maszyny parowej, czyli mówiąc językiem naukowym, wobec zużycia prawa naprężenia gazów, a mianowicie pary wodnej. Jaki przewrót ekonomiczny wywarło ujarzmienie tej nowej siły przyrody wiadomo każdemu, dość porównać środki komunikacyjne i produkcyjne z przed stu laty z obecnemi, aby ogarnąć całą doniosłość tego wynalazku.

Lecz i ten staje się powoli dla wzrastającego przemysłu niedogodnym i nieekonomicznym z powodu kosztów, jakich wymaga wytwarzanie dostatecznego ciepła na zamianę wody w parę. Przedsiębiorczy umysł człowieka szuka ulepszeń. Równocześnie z postępem ekonomicznym postępuje żywszem tempem nauka, a porzucając abstrakcye, skierowuje się na więcej praktyczne pole nauk przyrodniczych i zastosowanych. Nie mogąc pojąć i odgadnąć istoty siły i materyi zajmuje się ściślej bez porównania dla umysłu ludzkiego dostępniejszemi prawami i tworzy wspaniały gmach teoretycznej i eksperymentalnej fizyki i chemii, w których znajduje się niewyczerpane źródło prawd, dających się zastosować praktycznie. Obok pary zjawiają się opierające się na tem samem prawie fizycznem naprężenia gazów, motory pędzone ciepłem powietrzem i gazem. Równocześnie wykazują badania naukowo techniczne nad elektrycznością, że może ona służyć nietylko do urządzeń telegraficznych, telefonów oraz wytwarzania światła, lecz daje się łatwo zamienić w siłę motoryczną. Nowe to, wielce zapowiadające się źródło energii mechanicznej, budzi w świecie technicznym wielkie nadzieje, jednogłośnie uznają wszyscy elektryczność jako siłę przyszłości.

Lecz i tu stawały warunki ekonomiczne długo na przeszkodzie szerszemu jej zastosowaniu. Konkurencya pomiędzy parą a elektrycznością dawała przewagę pierwszej ze względu na koszta wytworu. Zastosowana nauka jednak, przeczuwając bliskie zwycięztwo drugiej, pracowała usilnie nad zwalczeniem trudności ekonomicznych, a opierając się na prawie jednolitości siły t. j. że żadna siła nie ginie, lecz z łatwością daje się zamienić w inną, zwróciła baczne oko na prąd potoków i rzek, aby go w tym celu wyzyskać. Jest to stanowczo nowa era ekonomiczna, w którą przez poznanie i zastosowanie na szerszą skalę prawa tego, wstępujemy.

Prąd wody służył już dawniej jako motor, obracając koła młynów wodnych i fabryk, niedogodność przeszkadzająca szerszemu zastosowaniu leżała poczęściej w tem, że wytwarzana siła musiała być spotrzebowaną na miejscu, zdala od centrów przemysłu. Zamiana jej na elektryczność, a z tej znowu na siłę mechaniczną, stała się punktem wyjścia i okazywała możność coraz rozleglejszego spożytkowania prądu wody w potokach i rzekach. Główna trudność przedstawiała się w przenoszeniu elektryczności na dalekie odległości bez znacznej straty. Szybko rozwijająca się technika elektryczności poczęła skutecznie zwalczać tę zaporę.

W obec tej nowej zdobyczy wiedzy przystąpiły kraje przemysłowe do wyzyskania otwierających się przedsiębiorstw. Powoli musiały przyjąć kajdany wodospady, rzeki i niczem dotąd nieokiełznane potoki górskie. Groźny Niagara, odwieczny Nil, ojciec rzek, Missisipi, stary Ren poruszają obecnie tramwaje, pędzą maszyny lub oświetlają ulice i domy wielkich miast.

W imię tych samych praw natury ja-

---

lonych, błyszczała dobroduszność połączona z ambarasem, — niby żak schwytany przy paleniu cygareta. Na tużurku czarnym bielił się ślad pudru, zdradzieckie corpus delicti nocnych bachanalii, a ręka, opięta elegancką rękawiczką, bawiła się błyszczącym cylindrem, jakby dla zakrycia pomieszania. Iza rozchyliła zamknięte powieki i chwilę spoglądały na siebie w milczeniu te dwie istoty, które losom podobało się nazwać małżeństwem. Powoli jednak przybysz w uśmiech sztuczny usta ułożył i zbliżając się do żony usiadł na krawędzi fotelu, w pół ją obejmując.

— Pocóż ty na mnie czekasz, Izo? To niepotrzebne, ja mam liczne interesa. Spotkałam Józia Kryńskiego...

Iza milczała dumna i nieruchoma, w oczach tylko to ból, to żal głęboki igrały. Przybysz odłożył cylinder i zdejmując rękawiczkę, mówił pieszczotliwym głosem:

— Dziecko z ciebie. No! pocałuj mnie i zgoda.

Teraz jednak niema dotychczas Iza porwała się z fotelu, oczy mgłą łzawą przyćmione błysnęły obrażoną dumą i świadomością praw pogwałconych, ręka konwulsyjnie schwyciła ramię Hoktora a wargi drżały bez dźwięku.

— Dziecko? wyrzekła wreszcie. — Dziecko? Całe życie to samo, bez głosu, bez woli...

I trzęsła w kurczowym gniewie rękę mężczyzny, z którego twarzy uśmiech ustąpił nagle. Pijane oko Hektora zapalało się gniewem.

— Czyś ty oszalała?

— Tak! oszalałam, bo dwa lata przepłakane w sercu mojem noszę. Gdzie byłeś? Gzie noce spędzasz? Słyszysz?..

Hektor wzdrygnął ramionami, powstał i rękę podniósł ku klamce sypialnego pokoju.

— Dziecko z ciebie, Izo! — powtórzył z udanym spokojem.

Iza ręce zaplotła. Na twarzy jej bladej nie gniew już jedynie, lecz żal i boleść pałały.

— Zabij mnie, szepnęła, — zabij.!

W tej chwili jednak oko jej spostrzegło bielidło na czarnym kołnierzu Hektora. Drgnęła, — coś niby przestrach mignęło na delikatnej jej twarzy i podnosząc rękę, krzyknęła przeraźliwie.

— Ta plama... co to?... Hektorze!

Hektor zmieszany począł ścierać zdradzieckie znaki, wnet jednak wzburzony winem i nocną hulanką sapnął:

— Czemu mnie pytasz jak sędzia śledczy? Idź spać i nie drażń mnie... Nie drażń mnie! — powtórzył raz jeszcze, a słowom tym towarzyszyło takie spojrzenie, że Iza cofnęła się przestraszona.

Stolik z misternym wazonem runął na ziemię a z brzękiem szkła mieszał się urywany płacz rozżalonej kobiety. Bezsilna nie wiedziała, co począć, ból gardło jej ściskał, oczy mgłą zachodziły, a on z ręką na klamce tak na nią spoglądał, jakby pieścić się chciał jej boleścią. Bywają ludzie, z których przypomnienie pogwałconego obowiązku robi tygrysów, z oskarżonych stają się oskarżycielami, krzykiem wściekłości głuszą wyrzuty sumienia i przestrogi stróżów — aniołów, a gdy rozumem, honorem i sercem bronić się nie mogą, wtedy pokazują pazury.

— Zachciało się pani małżeńskiej sceny — syknął przez zęby — zachciało się po nocach huczyć jak sowa, służbę budzić i na pośmiewisko dom mój wystawiać. Komedyantka!

Patrzał, jakby protest lub jęk chciał z młodej żony wydobyć, ale Iza milczała teraz z zaciętemi usty. Przez chwilę jeszcze spoglądał Hektor gniewnie w lica kobiety, potem, zatoczywszy się lekko, zniknął w drzwiach przyległego pokoju.

Iza cicho oczyma powiodła za nim, a, dopiero, gdy drzwiami rzucił z łoskotem,

kiemi dawniej woda występowała podczas wylewu jako najzaciętszy wróg wszystkiego istnienia, a przedewszystkiem prac człowieka, stała się obecnie, ujęta w karby, jego niewolnicą, obracającą jego żarna i świecącą mu wspaniałemi pochodniami wśród ciemnych wieczorów i nocy.

Nie mniej ciekawą od samego powyżej opisanego fenomenu jest jego strona techniczna. Chcąc dać czytelnikowi dokładne pojęcie, w jaki sposób dzisiejsza technika przystępuje do wyzyskania siły wodnej, opiszemy w krótkości ogólne zarysy podejmowanych w tym celu prac inżynierskich, opierając się w szczegółach na projekcie wyzyskania Renu pod Rheinfelden na granicy szwajcarsko badeńskiej. Daleko posunięte już roboty tego pod każdym względem pierwszorzędnego przedsiębiorstwa mieliśmy sposobność niedawno zwiedzać i badać na miejscu.

Przewodnia myśl przy wszystkich temu podobnych urządzeniach jest następująca: Koryto rzeki i płaszczyzna powierzchni wody posiadają pewne nachylenie, które nazywamy spadkiem. Jak wiadomo spadek ten jest w bliskości źródła znaczny, ku ujściu stale się zmniejsza.

Jeżeli poprowadzimy wzdłuż rzeki kanał o mniejszem nachyleniu, niż je rzeka posiada, zyskamy na danej odległości różnicę pomiędzy powierzchnią wody w rzece, a kanale, mogącą utworzyć kilkometrowy wodospad, który posłuży jako siła motoryczna do obracania wodnych kół lub turbin. Fakt ten oddawna był znany i spożytkowany, doniosłość leży w zamianie tak zdobytej energii w prąd elektryczny, przenoszenie go na dalekie odległości do miast i fabryk i ponownej przemianie na siłę motoryczną. Dzieje się to w taki sposób: spadająca z wysokości woda obraca koła wodne (turbiny), ruch tychże służy za pomocą tak zwanych dynamomaszyn do wytwarzania prądów elektrycznych, które ładują akkumulatory (zbiorniki elektryczności) lub bywają przenoszone na drutach do opodal położonych miast, gdzie zostają zamienione w światło lub za pomocą procesu odwrotnego poruszają koleje, tramwaje i maszyny fabryczne. W taki sposób będzie poruszana w budowie będąca kolej na Jungfrau przez górskie strumyki białą i czarną Lütschinę, a Nil pędzi od pierwszego sierpnia r. b. elektryczny tramwaj miasta Kairo.

Pierwsze odnośne próby zrobił Marcel Deprez w r. 1886, przenosząc siłę 116 koni na odległość 15 km. pomiędzy Creil i Paryżem. Rezultat, którego świat techniczny i przemysłowy oczekiwał z niecierpliwością, nie był świetnym, gdyż dawał tylko 45 proc. pierwotnej siły. Lecz już w roku 1891 osiągnięto bez porównania lepsze rezultaty przy przenoszeniu siły 180 koni pomiędzy Lauffen nad Nekarem a Frankfurtem nad Menem. Przy zastosowaniu prądów zmiennych (Wechselstrome) skonstatowano 75 proc. pierwotnej energii. Fakt ten zadecydował o ekonomicznej doniosłości przenoszenia na wielką skalę siły motorycznej przy pomocy prądów elektrycznych na dalekie odległości bez znacznej straty i zapewnił wyzyskanie niewyczerpanych zasobów sił przyrody, spoczywających w prądach rzek ku celom produkcyjnym.

Opierając się na tych rezultatach przystąpiło grono przemysłowców do wyzyskania w ten sposób Renu pod Rheinfelden i otrzymało odnośne koncesye od rządów szwajcarskiego i badeńskiego. Z przeróżnych projektów uzyskał aprobatę podany przez firmę Zschotzke & Co. w Aarau z pewnemi zmianami, poczynionemi przez prof. Intze z Akwizgranu, zapewniający 15,000 sił koni, jako minimum przy najniższym stanie wody w Renie. Koncesya zastrzega ze względu na interesy rybołóstwa i żeglugi pozostawienie przynajmniej 50 metrów sześciennych wody w starem korycie rzeki. Aby wodę skierować do kanału poprowadzonego wzdłuż Renu na stronie badeńskiej, zbudowany jest jaz (Grundwehr) w poprzek rzeki zawierający śluzę dla przepuszczania statków. Interesującem jest także, w jaki sposób technika uwzględnia interesy rybołóstwa. Wiadomo, iż w Renie na wiosnę pojawiają się łososie i inne ryby, aby składać ikrę. Byłoby zatem wzbronionem stawiać w poprzek zapory, nie dające rybom wolnego przepływu. Aby zadosyć uczynić tym wymaganiom bez wielkiej utraty wody buduje się w jazie pochyłą płaszczyzną z poprzecznemi schodami dla zmniejszenia prądu wody, a zamykaną śluzą, którą dowolnie można wodę wpuszczać lub zatrzymywać. Przez schody w tak urządzonym przepływie, przeskakują ryby z łatwością. Ciekawem jest, że jak prędko znajdują one to wąskie i niewygodne przejście, tak łatwo uczą się przerzucać przez małe zapory.

Korzyści, jakie z przedsiębiorstw tego rodzaju wynikają, są znaczne. Według obliczeń wynosić będą koszta zakładów w Rheinfelden około 5,000,000 franków, tak, że uzyskanie jednej siły konia na wale obrotowym turbiny kosztować będzie 346 franków kapitału zakładowego, cena w porównaniu z parową maszyną lub innym motorem bardzo niska. Przy tem zauważyć należy, że wszystkie motory wymagają znacznych kosztów utrzymania tj. ciągłego opału, gdy tu produkcya siły dokonuje się po ukończeniu budowy prawie bezpłatnie. — O ile nam wiadomo, zamierza przedsiębiorstwo zyskaną energię motoryczną wynajmować fabrykom do obrotu maszyn, lub miastom w celach oświetlenia.

Cena dzierżawy za 75 kilogramometrów = 1 sile konia wynosić będzie około 50 franków na rok. I tu taniość budzić musi zdziwienie. — Roboty rozpoczęte w kwietniu 1895 r. mają być już w maju roku przyszłego w przeważnej części wykończone. Spadająca woda obracać będzie 20 turbin o działaniu maximalnem 840 koni każdej.

Szkic ten, o ile nam się zdaje, wystarcza do ogarnięcia doniosłości tych nowych zdobyczy na polu technicznem i ich znaczenia dla przemysłu. Z obawą wyliczali uczeni i statystycy, na ile jeszcze lat wystarczyć może zasób węgla kamiennego, spoczywającego w łonie ziemi, przepowiadając z jego wyczerpaniem upadek przemysłu i kultury. Technika weszła obecnie na drogę, która robi podobne obawy płonnemi; siły w naturze są niewyczerpane a przedsiębiorczy umysł człowieka, opierając się na nauce, znajduje coraz to nowe sposoby zawładnięcia niemi.

Kraje przemysłowe przystępują ochoczo do wyeksploatowania tego nowego źródła dobrobytu, zapewniającego wzrost przemysłu i taniości produkcyi. I w naszym kraju posiadamy w pełni te same siły przyrody, dające się łatwo i z korzyścią spożytkować. Jak zwykle dojdzie nasz kapitał dopiero wtedy do uznania tego źródła dobrobytu

---

westchnienie z piersi się wydarło i łzy popłynęły znowu strumieniem. Łkając rzuciła się w fotel i twarz dłońmi zakryła.

Wkrótce jednak jakiś dziwny, lodowy spokój ogarnął jej całą istotę, łzy płynąć przestały, a oczy bez wyrazu, nieme i martwe w dal spoglądały ku oknu, przez które iskrzące gwiazdy i księżyc melancholijny blade światło rzucały. Nie była to owa sztuczna cisza, którą nieraz chcemy ból przytłumić, ale czysto fizyologiczny objaw osłabienia i apatyi po męczącej walce i wielkiej boleści. Mgła gęsta pokryła świeże wypadki. Emil, mąż, dziecko, gniew, zdrada — wszystko to majaczyło przed strudzonem okiem, ale bezkrwiste, blade, beznamiętne. Atmosfera tylko była duszna, niby przyciszony wulkan resztki sił do nowego zbierał wybuchu. Długa godzina osłupienia, a potem znów życie wracać zaczyna. Zimno dokuczliwe wstrząsnęło ciałem opuszczonej Izy. Odgarnęła włosy rozwiane, podniosła się zwolna i zmęczonem okiem powiodła w około, a oko to spotkało w cichej wędrówce strzaskane szczątki wazonu i stolik przewrócony. Więc pamięć nagle wróciła; cały dramat nierozegrany jeszcze zupełnie przesunął się przed samotną kobietą, łez jednak ten nie zbudził na nowo, jeno uśmiech dziwny, w którym grała duma i pogarda. Iza zacisnęła dłonie, a wzrok płomienny w drzwiach utopiła, za któremi zniknęła postać Hektora. On się odważył! Coś się w niej łamało, coś kruszyło i w proch ścierało.

Zwolna gniew ustępował z jej twarzy, bladość tylko została, a w piersiach zgliszcza wygasłej miłości. Podniosła lampę ze stołu, cicho otworzyła drzwi sypialni, oświetlonej tylko słabym blaskiem gasnącego księżyca, i patrzała długo w śpiącego Hektora, z którego ust rozwartych wydobywały się jakieś chrapliwe tony, niby hulaszcze echa wesołej zabawy. Dawniej na czole śpiącego Iza składała pocałunek, a dziś... Podeszła do łóżka swego i suknie zsunąwszy dmuchnęła na światło. Powieki jednak się nie zamykały i długo jeszcze dwie postacie przed oczyma się snuły: Emil u stóp jej klęczący i Hektor, mąż jej pijany.

Przed kilku godzinami głos smutnego kochanka był dla niej głosem występku, a teraz?.. Hektor przez sen mruczał:

Na rogu Freta,
Jest tam kawiarnia...

Iza podniosła się z miękkich poduszek i głowę wsparła na dłoni. Czuła się tak strasznie samotną i opuszczoną. Tam opodal leżał człowiek obcy, z którym jej nic już nie wiązało, prócz kościelnej stuły, i było dziwnie smutno wśród tych ścian, które patrzały na rozkosz miodowych miesięcy, a dziś siaj stały się pustynią. A przecież jest ktoś, który ją kocha namiętnie, — Emil szaleniec, Emil odepchnięty kochanek, ten biedny Emil, który u stóp jej drżał bólem serdecznym! A jednak... nie, nie... a mąż! a dziecko!

Z łóżka Hektora nowe dolatywały pomruki:

Trzewiczki mam,
Pończoszki mam...

A! Iza zacisnęła ręce. Chrapanie, rzężenie, mruczenie Hektora tworzyły orkiestrę zwierzęcą. Spazmatyczny śmiech wydarł się z piersi zawiedzionej żony... Przed kilku godzinami Emil uderzał w klawisze, a ta czarowna melodya dzikiej muzyki jego grała jeszcze w duszy młodej kobiety. O! tak! iskierkę przywiązania, choćby za cenę życia i sumienia.

Z cichem westchnieniem ukryła głowę rozpaloną w poduszki, lecz i tu ścigała ją muzyka Emila i sapanie Hektora.

Długo spoglądała w mroczną głąb pokoju, aż wreszcie znużenie ogarnęło jej członki i z cichem westchnieiem oczy do snu zmrużyła.

A jutro .. jutro??

i zarobku, gdy obcy, wyzyskawszy co było w swoim kraju, sięgną po korzyści do naszego. *Utinam falsus sim vates.*

Tuz.

LITERATURA I SZTUKA.

Nokturny Rzymskie.

W „Porta Pia".

W wielkiem milczeniu ruiny i nocy
Duchowi memu stanęłaś widoma,
A było mi tak, jak gdyby prorocy
Tu byli doma...
Że w pustce swojej masz głos, który woła,
Że przed twą ciszą schylają się czoła,
To jest największa może z twoich mocy,
O, Roma!

I srebrną urną stanęłaś przedemną,
W księżyca bieli, co z marmurów tło ma,
A choć pierś miałaś od popiołów ciemną,
Prochem znikoma,
Słyszałam przecież serca twego bicie...
Więc że w popiołach masz pulsy i życie,
To najdziwniejszą twą siłą tajemną,
O, Roma!

I tak stanęłaś mi, jako widzenie,
Między błyskami miesięcznymi dwoma,
W nizin twych pchnięta zmierzch i upodlenie,
A od wież stroma...
Żeś nie podniosła ludzkiego poniża
W światło, co niegdyś buchnęło tu z krzyża,
To jest twa nędza, słabość, to twe cienie,
O, Roma!

Marya Konopnicka.

Z estrady i sceny.

(Jadzia wdową. Krotochwila w 3 aktach p. Ryszarda Ruszkowskiego. — Właściciel kuźnic.)

Kuryerkowa reklama syreniego grodu zgotowała nam już niejeden zawód w murach teatralnych. Ostatnią mistyfikacyą to sobotnia premiera.

Powiedziano nam przez usta małych i wielkich reporterów warszawskich, że pan Ruszkowski po zerwaniu małżeństwa literackiego z Abrahamowiczem, złożył w „Jadzi wdowie" dowód znakomity samodzielnego talentu, — powiedziano nam, że ta „Jadzia" jest niewątpliwie królową fars polskich, — no i wreszcie przez krytyczną suggestyę dokonano tego, że Jadzię blisko 40 razy pokazano publiczności warszawskiej, a publiczność biła brawo i brawo bez końca. Powodzenie najświeższej krotochwili Ruszkowskiego niewątpliwie i tem się tłomaczy, że grano ją w jednym z teatrzyków ogródkowych, które mają swoją odrębną atmosferę i swoich odrębnych widzów. Inaczej patrzy się na sztukę w ogródku, inaczej w zamkniętym teatrze, — to pewna, niemniej jednak i to pozostaje faktem, że działanie sztucznej, tendencyjnie wydętej reklamy w tryumfach „Jadzi" wielką odegrało rolę.

Gdyby nie te ekstatyczne głosy Syreniego grodu, spoglądałoby się na farsę Ruszkowskiego jak na tysiące innych podobnych sztuczek i opuszczałoby się teatr z jakiem takiem zadowoleniem. Ot, nie lepsze to i nie gorsze od mnóstwa pospolitych balonów śmiechu, w które obfituje nowoczesna literatura sceniczna. — Ale reklama tak napięła oczekiwania nasze i tem samem tak przygotowała grunt dla rozczarowań, że „Jadzia wdowa" nawet mniej korzystne wywarła wrażenie, niż w rzeczy samej zasłużyła sobie. Bo bądźcobądź jest w tej trzyaktowej farsie kilka scen dobrze pomyślanych, jest dużo ruchu i wesołych typów, jest dyalog żywy, choć nieco trywialny, jest jednem słowem sporo zalet, mogących zadowolić niezbyt wygórowane pretensye i nie zbyt naprężone oczekiwania. Ale na sobotnią premierę każdy widz, który czytanie warszawskich dzienników, a mianowicie recenzyi teatralnych, nie uważa za zbytek, przynosił z sobą wyższą miarę artystystyczną, w obec której zalety sztuki zbladły, a wady wystąpiły w jaskrawych kolorach.

Zdaje mi się, że może najpoważniejszą wadą krotochwili Ruszkowskiego jest pewna sztuczność humoru, pewne urabianie sytuacyi, w których znać bezustannie piłę autorską. Gdy np. w pierwszej połowie aktu drugiego rodzina „Jadzi" stara się młodziutką wdówkę przekonać, że niedorzecznym jest wstręt jej do męzkiego rodu, że stary mąż umiał tylko pokaszliwać i ręce całować, lecz młody umie śmiać się. i pieścić i usta z ustami łączyć, to scena ta odbywa się przy szczelnie zapuszczonych storach, aby nikt oblicza skromnej Jadzi nie oglądał. Wkrótce jednak ciemność staje się niewygodną autorowi, więc Feliks, łobuz warszawski, podnosi rolosy, i ani Jadzia, ani otaczające ją dewotki nie starają się przeszkodzić tej zamianie maskarady na „bal paré", a publiczność doznaje uczucia, że autor dla tego tylko zaciemnił scenę, aby pokazać kilka karamboli, aby Feliks mógł operować zapałkami i aby nowy ten efekt urozmaicił nieco dość nudną bitwą wdowy z nieprawdziwego zdarzenia z kliką familijną. Nie raziłoby to może, gdyby humor sztuki był tak porywający, że zdrowy rozsądek, uniesiony w szalony wir śmiechu, nie odzyskałby przytomności, ale karambol starego Gawałeckiego z kwaśnym Mieczysławem, kilka tłustych dwuznaczników i kilka po ciemku zapalonych zapałek, to jeszcze nie ten dowcip eksplodujący, który tak zawojuje publiczność, że o niekonsekwencyach i nieprawdopodobieństwach zapomni zupełnie. Krotochwila ma swoje prawa; wolno jej posługiwać się logiką bezsensu, wolno akcyę budować na fantastycznych przesłankach, wolno tworzyć sytuacye karykataralne, — wszystko jej przebaczymy, byle tylko komizmem swoim uśpiła na godzin kilka nasz trzeźwy krytycyzm. Panu Ruszkowskiemu nie zawsze się to udaje, lubo trudno zaprzeczyć, że nie brak mu wesołych i oryginalnych pomysłów.

Zwrócić zresztą wypada i na to uwagę, że „Jadzia wdową" posiada gdzieniegdzie barwę lokalnego humoru, który na obcym gruncie traci siłę swoją. Są tam zwroty, dowcipy i typy, noszące specyalnie markę lwowską i warszawską, — dla naszej publiczności były one cudze. Niejedna petarda, wybuchająca śmiechem nad Wisłą i Pełtwią, u nas nie pękła i przeszła niepostrzeżenie.

Z wykonawców sztuki palmę pierwszeństwa zdobył pan Knapczyński, który w roli Feliksa prezentował się już kilkadziesiąt razy w jednym z teatrzyków warszawskich. Nie dziw więc, że gra jego pod względem swobody i wykończenia górowała nad resztą artystów, a na szczególne odznaczenie zasługuje pewne artystyczne umiarkowanie, o które często dopominać się muszę u naszych komików i lekkich amantów. Pani Jakubowska w roli tytułowej była jak zwykle żywa, elegancka i pociągająca urodą, lecz w pierwszej połowie sztuki szukałem napróżno Jadzi, — tej naiwnej Jadzi, którą urobiła sobie humorystyczna fantazya Ruszkowskiego. Śpiewający Bolesław, u którego „co nie szansonetka, to nie kobieta", przedstawił się w interpretacyi p. Stróżewskiego raczej jako Donżuan z Pacanowa niż wielkomiejski operetkowicz. A szkoda! Bo jest to jedna z najweselszych postaci sztuki, lubo pewien nowokreowany recenzent poznański uznał ją za zupełnie zbyteczną. Reszta artystów wywiązała się mniej więcej poprawnie z ról swoich, na szczególniejsze jednak odznaczenie zasługują p. p. Karpowicz, Berski, Prochaska i Wojdałowicz, oraz pocieszna w staropanieńskiej afektacyi swojej p. Modrzewska. Tylko ta Melanja, gdy mówi o uróżowaniu swojem i za „grzech śmiertelny" przeprasza Feliksa, powinna mieć istotnie twarz buraczaną, choćby nawet takie ufarbowanie miało dokuczyć pretensyom artystki.

* * *

W ubiegły wtorek wznowiono znowu na scenie naszej „Właściciela kuźnic", tę nigdy nie starzejącą się przeróbkę powieściową. Sztuka ta ma „role", jak mówią za kulisami, więc ją kochają aktorzy. Z żalem jednak zauważyłem, że w przeciwieństwie do dawniejszych przedstawień bieżącego sezonu coś się bezustannie haczyło i rwało na scenie, a nowej obsady efektownego dramatu w niektórych rolach szczęśliwą nazwać nie można. Ryger miał w konwersacyjnych scenach chwilami ton sztuczny, lecz za to wznosił się w dramatycznych momentach do siły porywającej i szczerym był w każdym dźwięku i ruchu. Partnerka jego, p. Tańska objęła rolę Klary po pannie Pankiewicz, która w tej właśnie sztuce dosięgła wyżyn prawdziwego artyzmu. Mimo tak trudnej rywalizacyi, wtorkowa Klara wywarła na publiczności korzystne wrażenie. Głos dźwięczny i dosyć silny, dramatyczna gra ócz, wytworne ruchy i zrozumienie roli, oto zalety, któremi talent p. Tańskiej zajaśniał w „Właścicielu kuźnic". Gdzieniegdzie tylko uczuć się dawał brak goretszych kolorów i subtelniejszego cieniowania, którem właśnie celowała dawniejsza przedstawicielka Klary na poznańskiej scenie.

Wręcz przykre natomiast wrażenie wywarła wtorkowa Atenais, p. Talko, której gra zdradzała bezustanny ambaras i brak dramatycznych akcentów. Końcowa scena aktu trzeciego była bladą, bardzo bladą dzięki tej grze dyletanckiej. O pani Zalewskiej nic więcej powiedzieć nie mogę, prócz tego, że odznaczała się pięknemi tualetami i blaskiem ócz magnetycznych. Być może, że w komedyi zaprezentuje się korzystniej ta nowa artystka, — do dramatu nie posiada stanowczo warunków. Panna Ogińska jest w każdej roli panną z małego miasta, grającą w zielone z sekretarzem pana mecenasa. Taką też była w „Właścicielu kuźnic".

Role męzkie natomiast znalazły lepszych przedstawicieli, że tylko wymienię elegancką, dyskretną i dobrze cieniowaną grę p. Tarasiewicza oraz charakterystyczny humor p. Olszewskiego.

W. R.

TO I OWO.

Zwycięzony szermierz.

W zeszłym tygodniu zmarł redaktor warszawskiego Izraelity — Pełtyn. Jako kierownik i długo niemal wyłączny współ-

pracownik pisma, poświęconego sprawom żydowskim, musiał on z konieczności zająć stanowisko wojujące. Rzeczywiście Izraelita był albo ustawiczną elegią, skarżącą się na złość i niesprawiedliwość innowierców względem Żydów, albo też redutą, odbijającą szturmy nieprzyjaciela. Łatwo zrozumieć, że pismo, napełnione w przeważnej części polemiką i powtarzające się ciągle w swych argumentach, musiało szybko znużyć czytelników. Nużyło zaś ono tem bardziej, że zależne w równej mierze od poparcia konserwatystów i postępowców swego wyznania, lawirowało między dwiema skałami, obawiając się rozbicia o którąkolwiek. Pewien wszakże mglisty ideał przyświecał z jego nieśmiałych i niewyraźnych marzeń. Pełtyn widział go w szczerym wyznawcy Starego Zakonu, w czcicielu tradycyi i obrządków mozaizmu, ale zarazem żądał, żeby ten niewynaturzony żyd był człowiekiem ukształconym, czynnym na rozmaitych polach działalności i życzliwym dla swego innowierczego otoczenia. Nie chciał on przyznać, ażeby w tym idealnym typie spotykały się sprzeczności, z których jedna wyłączała drugą. W jego przekonaniu kultura żydowska harmonizowała się doskonale z ogólną. Ale gdy on zacierał różnice i godził przeciwieństwa, jego czytelnicy, zależnie od tego, na którem stali skrzydle, dostrzegali je i ciągnęli go w dwie przeciwne strony. To też nie będąc przewodnikiem rzeszy jednolitej, trzymając w ręku właściwie dwa sztandary, nie mógł nigdy stanowczo zwyciężyć i padał ofiarą swej dwoistości. Jedni uważali go za wstecznika, drudzy za radykała.

NA WYŁOMIE.

(Apologia junkrów.)

Junkrowie pruscy! Kłaniał wam się Bismarck żelazny, uśmiechał się do was ród Hohenzollernów, słały za wami tęskne spojrzenia córki ubogich lejtnantów, — dziś w prochu przed wami ściele się „Kuryer Poznański". Wy się dziwicie? Ależ przezacni bracia Sudermannowskich Rocknitzów, pozwólcie, że wam przypomnę jeden z dawniejszych artykułów wielkiego herolda cnót junkierskich i zalet, — artykuł złożony u stóp tronu w dzień urodzin cesarskich. Wtedy powiedziano nam, że żaden król z Bożej łaski ani się mylić ani niesprawiedliwością grzeszyć nie może, bo przed ułomnościami ludzkiemi chroni go opatrzność, a ponieważ wy, Junkrowie pruscy, jesteście zwykle tronu janczarami, więc cóż dziwnego, że i wam u ramion wyrastają skrzydła aniołów. Zresztą, przyjaciele moi, wy przecież macie „tradycyjne szlachectwo", a Kuryer, który niegdyś Ossę piętrzył na Pelion, by zdusić liberalizującą szlachtę polską, i był gotów herbowym panom nietylko uczciwości lecz nawet człowieczeństwa odmówić, dziś nagle uwierzył, że „tradycyjne szlachectwo" to pancerz stalowy, o który dyabeł rogi sobie kruszy, to ów kamień filozoficzny, za którym szukali mędrcowie Indyi, a który mieści w sobie najwyższą wiedzę, najwyższą cnotę i najwyższą sprawiedliwość, prócz innych prawdziwie boskich atrybutów.

I cóż wam to szkodzi, że jakiś Aleksander Kraushar, pisząc o „Raubritterach" taki wyśpiewał czterowiersz:

„Dziś to rycerstwo nie ma już mocy,
„Lecz mu pazury zostały.
„Dawniej grabiło wśrod ciemnej nocy,
„A dzisiaj grabi w dzień biały".

Ej! drwijcie sobie z tego, Raubritterów syny! Kraushar Krausharem, a Kuryer Kuryerem. Tamten nie ma za sobą nikogo, prócz talentu i nauki, a Kuryer ma za sobą takie figury, że aż mrowie przechodzi, gdy z senatorską powagą suną przez ulice miasta.

Tak! Kuryer ma stanowczo racyę. Bo, proszę państwa, któż tam będzie pamiętał o takich drobnostkach, że ilekroć Bismarck stary sforę psów gończych puszczał na Polaków i skrzynię Pandory w darze im przesyłał, to Junkrom pruskim od oklasków nabrzmiewały ręce. Wiadomo przecież, że w kraju naszym żył jakiś wielki polityk, który twierdził z straszną powagą w uczonych broszurach, że Bismarck marzy o zbawieniu Polski i tylko wypróbować pragnie żywotne siły uciskanego narodu. Wprawdzie tego mędrca wsadzono potem do Czubków, ale ileż to wielkich filozofiów i dyplomatów kończyło z ogoloną głową w domu obłąkanych.

Któż to zresztą powiedział, że wy, Junkrowie, jesteście ojcami wielkiej rodziny pruskich Hakatystów, wy sprężynami i filarami tego ruchu, który Bismarckowskie „ausrotten" wypisał na sztandarach swoich? Mówi nam Kuryer Poznański, że „tradycyjne szlachectwo" dyktuje wam wstręt nieprzezwyciężony do hec narodowych, że lubo ten i ów Junkier w chwilowym obłędzie stanął w szeregach Hakaty, to wnet przerażony dzikiem ujadaniem opuścił pułki barbarzyńców. Wy macie delikatne nerwy arystokratyczne, — ten wrzask szowinizmu was razi, i serce wzbiera wielkiem miłosierdziem dla dręczonego narodu. A że tam w księgach bractwa trzech liter figuruje mnóstwo nazwisk Junkierskich, że na listach składek Hakaty najpoważniejsze cyfry herbem są strojone, temu nikt się dziwić nie powinien, bo wśród szlachty pruskiej mnóstwo jest intruzów, mnóstwo zielonych jeszcze „Vonów" i baronów. Homo novus! Czuć go pospólstwem i pospolite ma gusta, lecz gdy młode szlachectwo stanie się „tradycyjnem", wtedy Junkier zamieni się niewątpliwie w serdecznego przyjaciela polaków. Tak mówi „Kuryer". Któż mu nie uwierzy?

Junkrzy niewinni. Szukajmy winowajcy. „Kuryer poznański" doręczy nam klucz zagadki.

Winien jest „geszefciarz" z obozu „Posener Zeitung"; winien jest ten wolnomyślny Niemiec, któremu do szczętu nie wygasły iskry sprawiedliwości i któremu w piersiach gra jeszcze chwilami dźwięk humanitarny; winne są te stronnictwa, które w parlamencie miały piorun w ustach, gdy kanclerz żelazny wstąpił na trybunę.

Winni? uśmiech ironii zamiera na ustach. Proroctwo moje się spełnia, bo apologia junkrów to dowód wyraźny, że mimo klęsk najdotkliwszych Kuryerowa koterya abdykować nie myśli i znowu skrzydła gotuje, by w mgłach się nurzać lojalnych. Na prawo! dalej i dalej, choćby nas bito i w twarz nam plwano z pogardą.

Rozumiem kłamstwa dyplomacyi, ale zapytuję się panów z Kuryera, czy jest na świecie jaki król i jaki minister — oprócz Zulukafrów i Botokudów, tam może znajdzie się taki — który tumanić się pozwoli ich pisaninie niezręcznej? Zapytuję się, czy to polityczne małżeństwo z Junkrami, któremu artykuł Kuryera ma być stułą ślubną, posiada jeden atom prawdopodobieństwa, jeżeli ta ubóstwiana, centnarami cukrów i kwiatów zarzucana oblubienica szlachecka, kopie bezustannie swych klęczących wielbicieli i powtarza niezmiennie swój wyrok: „Idea państwowa wymaga waszej zguby, idea państwowa mówi nam: „Ausrotten"!

Lata całe żebrzecie łaski u tronu i tronowych pachołków, a w jałmużnie nie otrzymujecie nic, prócz błogosławieństwa rządu dla dzikiej Hakaty. Lata całe składacie ofiary w paszczę Molocha, a on drwi głośno z waszej wspaniałomyślności i niedwuznacznie uczuć wam daje, że rozumie maskaradę i komedyę waszą. Lata całe łudzicie kuglarstwem społeczeństwo, niańczycie je słodką bajeczką o uśmiechach królewskich, a ono, zasłuchane w Circeńskie melodye, zamraża serca, zatraca wiarę w własne swe siły i czekając na łaskę cesarską, na reformę szkoły ludowej, pozwala usnąć nauce języka polskiego, która w zaciszu domowem znalazła przytułek. Lata całe wysyłacie modlitwy swoje do stronnictw rządowych i wyrzekacie się sojuszu z lewicą, jak trądu i zarazy morowej, a oto dziś stoicie sami, bo prawica was odtrąca brutalnie, a przedstawiciele liberalnych kierunków za pogardę płacić zaczynają pogardą.

Posępny bilans!.... Wiem, że was ani bicz ironii ani druzgocąca siła logiki i doświadczeń nie wyleczy z złudzeń dziecinnych. Chyba was zwiedzie wielki ruch ludowy, który przedewszystkiem liczy na własną siłę, a jeżeli szuka przymierza, to wyciąga rękę do lewicy, wierny dewizie: „Uciśnieni wszystkich krajów łączcie się!" i wierny przekonaniu, że rozluźnienie śruby rządowej w prowincyach polskich zależy głównie od zwycięstwa demokratycznych i humanitarnych prądów w państwie niemieckiem.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego zamierza wystawić głośny utwór Schnitzlera p. t. „Miłostki" (Liebelei), grany z wręcz niezwykłem powodzeniem na scenach niemieckich i w teatrze lwowskim. „Miłostki" uważają „młode Niemcy" za najznakomitszy wyraz swych dążeń literackich, a we Wiedniu powstało nawet pismo, które dla zaznaczenia kierunku artystycznego, w jakim dążyć będzie, nazwało się „Liebelei". — Dyrekcya policyi monachijskiej wzbroniła przedstawienia grywanej z powodzeniem na wielu już scenach operetki francuzkiej pt. „Owieczki". — Dziś, w sobotę, ukaże się na scenie poznańskiej stary, lecz nie starzejący się i zawsze piękny utwór Narzymskiego „Pozytywni". Reżyseryę sztuki prowadzi osobiście p. Edmund Ryger.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. P. Dziękujemy serdecznie za łaskawie nadesłany nam artykuł. Ogłosimy go w najbliższym numerze. Do obecnego było już zapóźno.

A. W. Zgoda. Numer wysyłamy. Bliższe informacye podamy listownie.

OD ADMINISTRACYI.

Skargi na nieregularne dochodzenie „Przegl. Pozn." nie ustają.

Abonentów w m. Poznaniu prosimy zwrócić się wprost do Ekspedycyi „Przegl. Pozn.", obecnie przy ul. Podgórnej 7. Abonenci, zapisujący „Przegl. P." na pocztach raczą zażądać od poczty zaległego numeru, gdyż poczta z obowiązku dostarcza takich numerów bez kosztów. W razie potrzeby trzeba stanowczo tego się domagać.

Abonentom, którzy przysyłają przedpłatę do Administracyi i odbierają „Przegl. P." pod opaską, prześlemy na każde zawiadomienie odwrotną pocztą zaległy numer pisma. Prosimy tylko zawsze podać dokładny adres.

Szanownych abonentów, jako też i Stowarzyszenia, które pod opaską odbierają „Przegl. Pozn." prosimy o wczesne uregulowanie przedpłaty tak za IV jak za III kwartał rb. Bardzo wielu jeszcze zalega z przesyłką przedpłaty, co Administracyi utrudnia utrzymanie porządku w książkach kasowych.

Wobec wielkich kosztów, jakie wydawnictwo literackiego tygodnika pociąga za sobą w zaborze pruskim, będziemy zmuszeni zaprzestać dalszego wysyłania „Przegl. P." tym, którzy w ciągu dwóch tygodni nie uiszczą się z zaległej przedpłaty.

Pieniądze prosimy przesyłać pod adresem: Redakcya „Przeglądu Poznańskiego. — Poznań (Posen) św. Marcin 22. II p.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28